

LEPIEJ SPŁONAĆ, NIŻ ZBLAKNAĆ

Plemię canceli kontra plemię inceli. Zaorać lewaka kontra zaorać prawaka.
Algorytmy internetowe robią resztę i paranoja się nakręca

Z REŻYSEREM **JANEM KLATĄ*** ROZMAWIA **DOROTA WODECKA**



* Jan Klata

ur. 1973 r., jeden z najwybitniejszych polskich twórców teatralnych, laureat kilkudziesięciu polskich i zagranicznych nagród teatralnych, m.in. Nagrody im. Konrada Swinarskiego i Europejskiej Nagrody Teatralnej. Jego spektakle prezentowane były na Festiwalu Jesiennym w Paryżu, Olimpiadzie Teatralnej w Petersburgu i Biennale w Wenecji. Za kilka tygodni odbędzie się pokaz „Trojanek” Eurypidesa z Teatru Wybrzeże w Gdańsku na Olimpiadzie Teatralnej w Budapeszcie. Jest ojcem trzech córek i mężem Justyny Łagowskiej, scenografki i reżyserki.

O! Kiedy pierwszy raz rozmawialiśmy ze sobą 10 lat temu, przyszedł pan na spotkanie w tym samym futrze.

– Mam też dużo innych przyodziewków. Ten mi służy, jest z recyklingu i ładnie lysieje. A to jest ważne, żeby w życiu dobrze lysieć.

Dekadę temu uchodziło chodzić w futrach, lecz czasy definitywnie się zmieniły. Nie wyrzucę żrebaka na śmietnik tylko dlatego, że czasy się zmieniły. Ale oczywiście to jest nie do pomyślenia dla moich córek, by zakładać futra. One nie noszą, jednak innym nie zabraniają. Wydaje mi się, że to powinno być ponadczasowe podejście.

To widzę, że od razu zaczynamy.

– Nie? Proszę bardzo, mogę nie mówić o moim szorstkim postrzeganiu świata. Pani ma jakiś inny plan na tę rozmowę?

Niekoniecznie. Sądziłam, że zacznę od życzeń, bo dopiero co skończył pan 50 lat, a potem zapytam, czy czuje się pan dziadersem.

– A to nie jest dyskryminujący ageizm? Jakże są feminatywy słowa „dziaders”?

Dziaderska, dziadersczyni?

– Nie. Pytałem o to moją córkę Jadwigę. Babers. A jaki jest feminatyw od słowa „przemocowiec”, bo do tego chyba też zaraz dojdziemy.

Przemocowczyni?

– A słyszała pani taki wyraz? Może najwyższy czas, żebyśmy go również zaczęli używać. Ograniczanie poszukiwań przemocy do niecałej połowy społeczeństwa jest, delikatnie mówiąc, naiwnością. Tak jak myślenie, że jak prezydentem przestanie być Andrzej Duda, mężczyzna, a prezydentką zacznie być Beata Szydło, to będzie lepiej, bo to kobieta. Pozwolę sobie na ryzykownie kontrowersyjne przypuszczenie, że może nie całe zło tego świata jest związane z płcią rządzących.

A nie?

– (*śmiech*) Być może niezbyt sensowna jest dość popularna w niektórych kręgach teza, że obecni przedstawiciele grup, które sprawowały władzę przez tysiące lat, powinni być teraz szykanowani. Przepraszam bardzo, ale ja ze sprawującym władzę Bolesławem Krzywoustym, reprezentantem patriarchy, nie poczuwam się do żadnej solidarności. Domyślam się, że współczesne kobiety czują się odpowiedzialne za Elżbietę Batory?

Ona akurat była kobietą uprzywilejowaną i seryjną morderczynią wszech czasów, a pan uprawia demagogię.

– Proszę pani, moje córki są najmłodszymi czarnymi pasami w kraju, jedna z nich jest czempionką brazylijskiego dziu-dżitsu – gdybym nie był feministą, spuściłyby mi niezłe manto. Oczywiście, że „Woman Is the Nigger of the World”. Pytanie, jak konstruktywnie świat zmieniać, żeby ludzie płci wszelakiej wyciągali sensowne wnioski z mrocznej przeszłości. Naturalnie mogą się mylić, ale nie mogę się oprzeć wrażeniu, że świat nie będzie mądrzejszy, jak zamienimy „habemus papam” na „habemus mamam”. Czy jeśli inkwizycja rodzaju męskiego zastąpiona zostanie przez inkwizycję rodzaju żeńskiego, to będzie sprawiedliwiej?

„Sprawowaliście władzę przez tysiące lat, to teraz zobaczcie, jak my na was tysiące lat będziemy się mścić?” – nie jest to hasło szczególnie płodne intelektualnie.

Wiem, że pan reżyserował w Szwecji spektakl „Marat/Sade”, ale to nie powód, by nie wierzyć w ideały rewolucji.

– W rewolucji nader często skrywa się marzenie o tym, żeby dojść do władzy i według ponadczasowej zasady „teraz, kurwa, my” zemścić się za wszystkie krzywdy, które mnie spotkały.

Doceniam pana brawurę, ale jednak patriarchat nas, kobiety, gnoil. I czas się z nim rozliczyć.

– Tak, gnoil, gnoil nikczemnie i haniebnie. Rozumiem, że odpowiedzią jest matriarchat?

Nie, odpowiedzią jest równość.

– No właśnie, równość, to znaczy, że nikogo nie prześladowujemy, nawet jeśli zdarzyło mu się – nie z własnej winy – być mężczyzną. Nikogo nie dyskryminujemy ze względu na płeć i wiek, à propos dziaderstwa.

À propos, pan nie odpowiedział na moje pytanie, ale mam jeszcze inne w zapasie.

– Ja też. W dniu moich urodzin mieliśmy próbę wznowieniową i spektakl „Trojanek” Eurypidesa. I sześćioletni Kajetan, który pierwszy raz grał składanego w ofierze Astyanaksa, syna Andromachy i Hektora, na dzień dobry zapytał mnie w kulisach: „A czy ty będziesz dobrą, czy złą postacią?”. Oto najważniejsze pytanie, z jakim musiałem się w ostatnim czasie zmierzyć.

Wydawać by się mogło, że w tym wieku fundamentalne jest pytanie o frustrację, kryzys wieku średniego i tym podobne historie.

– Nie, nie jestem sfrustrowany, jestem dorosły. Staję się podejrzanie wręcz pogodny, a kryzys wieku średniego już przeszedłem z mocnym wyprzedzeniem. I wbrew najmodniejszym tendencjom nie przetrząsam swojego życiorysu w poszukiwaniu osób, które mnie skrzywdziły. Pielęgnuję w sobie, niezwykle przykornie, poczucie wdzięczności, często paradoksalne.

Na przykład wobec kogo?

– Na przykład wobec Krystiana Lupy. Albo Mikołaja Grabowskiego, który wiele lat temu postawił mi dwóję w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej w Krako-



Jeśli ktoś może sobie pozwolić na walkę pokoleń i się jej z pasją godną lepszej sprawy poświęca, to również dlatego, że ma na to pieniądze od rodziców

wie. Z Czechowa, zdaje się. Wtedy myślałem, że dostałem pałę, bo jego sposób myślenia jest skostniały, że mści się na mnie, bo się przeniósłem z Warszawy i tak dalej, ale kilka lat później doszedłem do wniosku, że on miał rację. Bo on wiedział, czym jest prawdziwy teatr, a ja tego nie wiedziałem. A nie miałem w sobie wystarczająco dużo pokory, żeby odrzucić pewne różnice estetyczne i generacyjne między nami.

Czy dziś walka pokoleń nie zastępuje walki klasowej?

– Coś w tym jest, jednak mnie się to wydaje prawdą tylko i wyłącznie w ramach wielkomiejskiego lewicowo-liberalnego środowiska.

Jeśli ktoś może sobie pozwolić na walkę pokoleń i się jej z pasją godną lepszej sprawy poświęca, to również dlatego, że ma na to pieniądze od rodziców.

Przepraszam, to, co powiedziałem, jest straszne? Przejmuję się tym jak Mick Jagger wigilijnym wpisem Krystyny Pawłowicz.

Sądząc po pani minie, czeka mnie ban i cancel w mediach społecznościowych. Będzie gównoburza na Fejsie z uwagi na naruszenie tabu jakiegoś -izmu.

Nie życzę panu tego w każdym razie. A skoro o Czechowie pan wspomniał, to o strzelbie, która wisi na haku, musimy też pogadać.

– To jest dwururka. Ma dwa cyngle. Cyngiel z prawej strony jakoś tak ma, że chce się nim pociągnąć jak najszybciej. Jeżeli chodzi o lewy cyngiel, to jego skuteczność polega nie na tym, żeby go nacisnąć, tylko żeby gonić króliczka. Więc ta strzelba jeszcze powisi, zwłaszcza że nabita jest mokrymi kapiszonami.

Zaskakująco pan teraz obrywa od środowisk progresywnych. W kuluarach, dodam.

– Czy Polakom wolno tańczyć latynoamerykańskie tańce? Oto performatywny problem na miarę ćwierćwiecza! Tzw. środowisko staje się coraz bardziej infantylnie agresywne wobec każdego, kto nie zakłada ideologicznego gorsetu, nader często dość bezmyślnie importowanego. A mnie akurat gorset uwiera, chociaż generalnie wydam się, że ideologiczny gorset pomaga w życiu, zwłaszcza jeśli się go z odpowiednim wyprzedzeniem zmienia na modniejszy. Pomaga w karierze, ale bardzo szkodzi na głowę, przede wszystkim artystom, ponieważ powoduje, że sztuka, której strumień przez człowieka przepływa, przestaje być sztuką, a staje się propagandową agitką. Czy to jest agitka prawicowa, czy lewicowa, to tak naprawdę nie ma żadnego znaczenia. Efekty są zadziwiająco podobne pod względem artystycznym. Podobnie nieudane, choć oczywiście recenzje będą dobre, zwłaszcza kiedy recenzent jest jednocześnie dramaturgiem spektaklu.

Nie każda ideologizacja jest nieetyczna.

– Nie powiedziałem, że każda ideologizacja jest nieetyczna. Powiedziałem, że ideologizacja sztuki ją zabija.

Czy artysta nie powinien stanąć po stronie etyki, czyli tej ideologii, która jest etyczna? Przecież nie da się oddzielić etyki od ideologii i sztuki od etyki.

– Przepraszam bardzo, pani uważa, że lewicowy nurt jest z założenia etyczny, a prawicowy nieetyczny? Przecież to jest nieprawda. Często mamy do czynienia z obłudną monokulturą. Deklaruje się inkluzywność i afirmację, a praktykuje cenzurę i wykluczanie.



spektakularny shitstorm i zniszczyć. A rzeczy, które obrażają różnych ludzi, jest nieskończenie dużo. Dlatego istoty *Homo sapiens* gromadzą się w stada, żeby ustalić, co będą gumkować w ramach tego obrażania. I problem znika.

Żeby było miło. W życiu przecież z założenia ma być miło, przyjemnie, ujutnie, komfortowo, czyż nie?

Chciałabym.

– Pozwalam sobie zauważyć generalną niechęć do rzetelnego, żmudnego ogarniania świata przez ludzi do tego powołanych, czyli przedstawicieli polskiej inteligencji. W uczciwej rozmowie próbuję zrozumieć argumentację drugiej strony, następnie staram się powtórzyć tę argumentację, zapytać, czy dobrze zrozumiałem, a potem dopiero mówię, z czym się nie zgadzam. Na tym polega sztuka logicznego myślenia. A to jest już właściwie u rzesz polskiej inteligencji różnej maści niespotykane. Przeciwnika trzeba skancelować, nie trzeba i nie wolno z nim uczciwie dyskutować, jako że jest przeciwnikiem. Nie zadaję sobie trudu zrozumienia czyjegoś poglądu, skoro jego poglądy mnie obrażają. A zatem ma ich nie być i tego człowieka też ma nie być.

Plemię canceli kontra plemię inceli. Zorać lewaka kontra zorać prawaka. Algorytmy internetowe robią resztę – i paranoja się nakręca.

Nie sprawdzamy już mocy swoich poglądów w konfrontacji z poglądami innych, nie poddajemy ich próbie, bo to wymagałoby wyjścia poza naszą strefę komfortu.

Jeśli jestem skonfrontowany z czymś, co nie mieści się w ramach mojej ujutności, to budzi mój niepokój, a zaraz po nim jest już agresja. A przecież nie powinienem czuć niepokoju, nikt nie powinien czuć niepokoju, bo wszyscy powinni się czuć tak ujutnie jak ja. Skoro jednak ktoś wychodzi poza moją ujutność, to zadaje i mnie jakieś pytanie. I może się okazać, że moja ujutność nie jest znowu taka ujutna?

Sądzi pan, że o ujutność idzie, kiedy zamykamy się w bańkach?

– I o wskazywanie wroga, który nas w tych bańkach zjednoczy. W internecie, dodajmy, co jest paranoiczne, zwłaszcza w środowisku teatralnym, bo z zasady to, co robimy, jest ucieczką od internetowego zapośredniczenia. Przecież teatr polega na tym, że dosłownie wychodzi się ze swojej banieczki po to, żeby się skonfrontować z żywymi ludźmi, którzy przez półtorej czy trzy godziny grają i performują dla nas. Wcielają się w postaci, które nie zawsze są tak bardzo światłe i godne pochwały jak my, czasem te postaci teatralne są mordercami, gwałcicielami, zachowują się przemocowo, nie wszystkie postaci są wyrazicielami poglądów autora, reżysera czy aktorów. Eureka? Teatr jest spotkaniem, a nie nawalanką za pomocą kciuków. Teatralnej rewolucji nie przeprowadza się na Facebooku. Rewolucję teatralną przeprowadza się na scenie spektaklami, które są ciekawsze, lepsze od tych, które były dotychczas, które nam się nie podobają, z którymi uczciwie rywalizujemy. Nie zabraniaj innym, zrób swoje lepiej! Moi studenci reżyserii to rozumieją, a część pedagogów nie.

Czy to nie jest iluzja, że spotykamy się w teatrze poza swoją bańką?

– Zależy od władz miasta, nieprawdaż? Podzielę się niepopularną tezą, że ludzie teatru nie są po to, żeby miło spędzać czas w ramach etatu, tylko po to, żeby robić możliwie jak najczęściej grane fascynujące spektakle, na które możliwe licznie przychodzą „osoby widzkie”. Te „osoby widzkie” mogą się z tym zgadzać albo nie zgadzać, mogą być oburzone, nieoburzone, ale przynajmniej winny otrzymać jakąś artystyczną wypowiedź, z którą mogą się, przepraszam bardzo, skonfrontować. I za to „osoby podatnicze” płacą naszej branży ciężko zarobione pieniądze.

Prowadziłem jakiś czas temu zajęcia ze studentami Uniwersytetu Jagiellońskiego, teraz prowadzę zajęcia ze studentami reży-

serii na Akademii Teatralnej w Warszawie. I dostrzegam u ludzi o pokolenie ode mnie młodszych głębokie zrozumienie dla wartości, które wyznają w teatrze. Że warto jest zajmować się w teatrze tekstami, które są mądrzejsze od nas. Że warto jest rzeczywiście zadawać sobie trud zrozumienia tych tekstów po to, żeby je zinterpretować. Że aktor może grać kogoś innego niż on sam, jakąś postać, dajmy na to. Szokujące, nieprawdaż? Monokultura jest zabójcza, dla intelektu również.

Ale są dzieła, które nie przystają do dzisiejszej wrażliwości. Albo ich przemocowi twórcy.

– Najpierw może o dziełach: trzeba się z nimi konfrontować, podejmować wyzwania, wyciągać wnioski na życie. Ryszard Koziołek niedawno pięknie pisał o tym na łamach „Wyborczej”. Nie chować głowy w piasek. To oczywista oczywistość na gruncie teatru, który od czasu Ajschylosa służył jako narzędzie krytycznego namysłu zbiorowości nad sobą. Inaczej będziemy wyznawcami zasady: słucz termometr, to nie będzie gorączki. Teraz o twórcach: Max Scheler zapytany przez studentów, dlaczego sam nie stosuje się do zasad etycznych, które głosi, odpowiedział: „Czy widzieliście drogowskaz, który kroczy drogą, którą wskazuje?”. Jeśli będziemy czepliwi się twórców za to, że nie są dobrymi ludźmi, to pozostaje nam tylko jeden człowiek teatru, ideał, którego dzieła powinniśmy wystawiać i za którego myślą powinniśmy podążać – oczywiście również wielki aktor, poeta i dramaturg Karol Wojtyła, który w przeciwieństwie do Romana Polańskiego jest święty, w przeciwieństwie do Susan Sontag miał zęby, w przeciwieństwie do Francisa Bacona nie był nałogowym hazardzistą, w przeciwieństwie do Caravaggia nie był mordercą i w przeciwieństwie do Dostojewskiego nic nie ma wspólnego z pedo... Oj, wróć! Wróćmy z nieba na ziemię: cenzurowanie „Umarłej klasy” pod kątem tego, czy Tadeusz Kantor był prywatnie miły, czy niemiły, nie ma sensu.

Muszę zapytać dlaczego?

– Ludziom nie wolno odbierać możliwości refleksji nad światem i nad sobą samym za pomocą arcydzieł, które zostały stworzone przez strumień piękności. Możemy wsadzić Polańskiego do pierdła, ale odpieprzmy się od „Chinatown”. Tuż przed COVID-em pojechałem do Neapolu pochodzić śladami Gesualda de Venosy, jednego z najbardziej progresywnych, ekscentrycznych i genialnych kompozytorów w dziejach muzyki. Byłem na placu przed rodową siedzibą, do której Gesualdo chytrze przed czasem powrócił z siepaczami z wyprawy myśliwskiej specjalnie po to, żeby dopaść małżonkę oraz jej kochanka na gorącym uczynku w swoim małżeńskim łóżku. Następnie zniecałkował do sypialni, wziął topór i wespół z pachółkami poćwiartował oboje. Wywleczono potem zmasakrowane resztki na plac i tak zostawiono ku przestrodze. Zebrali się gapię, jeden z nich, mnich dominikański bodajże, wysusiał się na zwłoki. Odbył się praworządny proces i Gesualdo został uniewinniony, ponieważ działał w afekcie.

Czy w związku z tą niewątpliwie przemocową historią mam już nie słuchać wspaniałych madrygalów Gesualda? Muzyki na Wielki Tydzień, w nieprawdopodobny sposób pokazującej nutę cierpienia, na przykład w wykonaniu Graindelavoix? Może ja się nie znam na muzyce, ale Strawiński chyba się znał i był Gesualdem zafascynowany. Herzog zrobił świetny film dokumentalny, ale Herzoga oczywiście również trzeba skancelować, bo jest przemocowcem i po co w ogóle tego „Aguirre” czy innego „Fitzcarralda” oglądać, skoro reżyser na planie podnosił głos na współpracowników.

Istnieje różnica pomiędzy człowiekiem, który z natury jest omylny, targany nie zawsze pozytywnymi emocjami i stara się opanowywać swoje zło za pomocą sztuki, a tą sztuką właśnie.

Czy ja mogę panu zadać samobójcze pytanie?

– Ależ bardzo proszę.

Jest pan przemocowcem?

– Zaraz zajmę się nieznosną nieostrością terminu „przemocowiec”, lecz najpierw się zwierzę, że jestem wobec siebie bardzo krytyczny, wiele od siebie wymagam, również na polu pracy nad sobą. Wymagam od innych, bo wymagam od siebie. Zdaję sobie sprawę z tego, że tkwi we mnie przemoc, lecz nie wykorzystuję jej do niszczenia innych. Jednak są ludzie, którzy myszkują po życiorysach, dzwonią po aktorach i pytają.

Pytają aktorów, czy Klata jest przemocowcem?

– Takie mają niewinne hobby najwidoczniej. A to jest pojęcie, które może określać wszystko. Magiczna abrakadabra, za pomocą której można kogoś zniknąć, kogoś z jakiegoś powodu niewygodnego. Takie pojęcia jak „mobbing” są uchwytne, funkcjo-

Możemy wsadzić Polańskiego do pierdła, ale odpieprzmy się od „Chinatown”

nują w systemie prawnym i kiedy spotykamy się z długotrwałym, uporczywym nękaniem, to trzeba działać. Natomiast „przemoc” jest nieokreślona. Dla kogoś jednego nie jest przemocą coś, co jest nią dla kogoś innego. Mój spektakl może być niezwykle przemocowy...

...uściślmy, że chodzi o „Act of Killing”.

– Dla niektórych ten, a dla innych jakiś inny, choćby „Utwór o Matce i Ojczyźnie”. Bo kryteria się zmieniają, chodzi o to, kto dźwierz władzę sądenia. „Transfer” może być przemocowy dla części widzów, którzy nie chcą słuchać opowieści Hanne-Lore Pretzsch z dzieciństwa o tym, jak jej matka i ciotka były zbiorowo gwałcone przez rosyjskich żołnierzy, a ona leżała pod łóżkiem. „To jest straszna przemoc. Dlaczego mam tego słuchać? To narusza mój poziom komfortu. Czuję się zgwałcona”, powie ktoś. Inny powie, że nie chce słuchać opowieści tej Niemry, bo im się należało.

Chyba nikt już tak teraz nie powie.

– Kiedy graliśmy w Moskwie, to młode dziewczyny wychodziły. Niektóre krzyczały: „Mam się litować nad tą Niemrą, a co oni robili mojej babci?”. Kontekst jest wszystkim.

Dlatego dziecinnością jest mówienie o tym, że oto zlikwidujemy przemoc. Nie lekceważę tego, że ludzie, którzy mają władzę nad innymi, mają tendencję do nadużywania władzy. W tym sensie dyskusja o przemoc, zwłaszcza wobec tych, którzy są na nią najbardziej narażeni, jest bardzo zasadna. I każdy, absolutnie każdy powinien wyciągnąć dla siebie krytyczne wnioski z tej dyskusji. Czasem wnioski powinien wyciągnąć prokurator. Natomiast nie można używać znacząco szeptanego określenia „przemocowiec” jako pały na tych, których się po prostu z jakichś powodów nie lubi i których się chce wykończyć.

Mówimy o przemocach wynikających z hierarchii.

– Tam, gdzie jest zbiorowość, zawsze jest jakaś hierarchia, nawet jeśli hierarchowie udają, że jej nie ma. Ludzie zdają matury, potem kończą studia i opowiadają o tym, że z hierarchią należy skończyć, bo kiedy skończymy z hierarchią, skończy się przemoc. Nie. Jestem zwolennikiem merytokracji.

Jeśli nie stworzymy hierarchii merytorycznej, hierarchią będzie ten, kto najgłośniej wrzeszczy.

I nie jest wykluczone, że wrzeszczy na zasadzie: łapaj złodzieja. Jeśli hierarchia

jest tworzona na zasadach merytorycznych, znajduje sposoby na opanowanie przemoc. Proste.

A kolektywne zarządzanie?

– Trzymam kciuki za duet Strzępka/Mrozek w stołecznym Teatrze Dramatycznym. Będę trzymał przez pięć lat, jako że jestem długodystansowcem.

Teraz odpowiem nieco bardziej ogólnie: polecam książki René Girarda. To bardzo mądry, niekonformistyczny myśliciel zajmujący się tematem kontroli przemoc. Natomiast dyskusja w środowisku jest na takim poziomie, że każda hierarchia jest be, każdy kolektyw super, bo przecież praktyka zarządzania czymkolwiek jednoznacznie wskazuje na to, że im więcej osób decyduje w ramach organizacji, tym lepiej, gdyż odbywa się wtedy kuratorskie zarządzanie procesem.

Dziś, kiedy reżyser mówi aktorowi, z której strony postać ma wejść na scenę, to już jest akt przemoc. Tak napisał pewien za-

ny profesor na szacownych łamach. Na takiej zasadzie przemocowe jest absolutnie wszystko. Najbardziej przemocowy jest budzik rano.

Doznałam tego dziś, jadąc do pana.

– A był alert RCB: nie wychodzić z domu, bo niebezpiecznie wieje. Po co w ogóle wychodzić z domu? Czy nie lepiej posiedzieć w przyjemnym ciepłku?

No nie wiem, ogrzewanie jest drogie, oszczędzamy.

– Wszystko podróżowało, ale zostały jeszcze kieszonki. Są dobre na zawiść, odkwaszają. Korzystnie wpływają na głowę w przeciwieństwie do mediów „społecznościowych”.

Mówimy o ciepłku, a pan nagle wyskakuje z zawiścią.

– Rozmawialiśmy też o gumkowaniu, bo to jest narzędzie, które pozwala mi wykończyć tego, komu zazdrozczę. Wykończyć tego, kto jest ode mnie lepszy na jakimś polu. Ewentualnie lepiej zarabia. A zawiść niszczy człowieka, choć akurat niekoniecznie tego, przeciwko któremu jest skierowana.

O pana zarobkach też mówią w kulturach.

– Pani naprawdę zadała mi pytanie, dlaczego zarabiam tyle, ile zarabiam?

Moje pytanie pochodzi z waszego środowiska. O tym się plotkuje na imprezach towarzyskich.

– Smętne muszą być te imprezy... Zapewniam panią, że moje honoraria były badane na wszystkie możliwe sposoby i przez lewicową, i przez prawicową policję myśli – śledztwa kończyły się rozczarowaniem „życziwych”.

Ale porozmawiajmy o pieniądzach w teatrze: konstruktywnie, bo zdaje się, że nikt z bardzo wielu znawców środowiskowych z jakichś powodów nie chce się naprawdę zająć tym, jak są wydawane. Nie na poziomie ploteczek o apanażach tego czy innego artysty, lecz na poziomie efektywności dotowania teatru publicznego. I tu się robi ciekawie i naprawdę kontrowersyjnie.

Otóż ja niezwykle ekscentrycznie uważam, że teatr jest po to, aby jak najczęściej grać spektakle teatralne. Szokująca deklaracja, wiem.

Jeśli w teatrze powstaje spektakl, którego budżet wynosił sporo pieniędzy, a jest grany kilka razy i schodzi, to stopa zwrotu z inwestycji jest kilkadziesiąt razy mniejsza, niż

gdyby ten sam spektakl był grany kilkadziesiąt razy, nieprawdaż? I pieniądze się marnują, duże pieniądze. Zakładam oczywiście, że na moje spektakle akurat tak się składa, że przychodzi. I tak się składa, że spektakle, które reżyserują, są grane po 50-100, czasem 150 razy, a zatem kosztują podatnika dużo, dużo mniej niż spektakle ludzi, którzy mi zazdrozczą honorariów.

To pan wie, kto panu zazdrości?

– Tyle w temacie stopy zwrotu z inwestycji. Kontekst jest wszystkim.

Swoją drogą, pierwszy spektakl, który zrobiłem w życiu – poprzedzony pięcioma latami bezrobocia – miał zawrotny budżet w wysokości 500 zł. Budżet. Nie mówię o moim czy czymkolwiek honorarium. 500 zł na dekoracje i na wszystko. Pożyczony od mojego ojca, jako że jestem uprzywilejowany.

I co pan tymi słowami chce powiedzieć młodym artystom?

– Dlaczego tylko młodym, dlaczego tylko artystom? Eliud Kipchoge, człowiek już dojrzały, pod czterdziestkę, mistrz świata w maratonie, zapytany, czy kiedykolwiek było tak, że obudził się rano i pomyślał, że nie chce mu się wychodzić z domu na trening, odpowiedział, że...

...codziennie?

– Tak właśnie. Powiedział, że bez dyscypliny człowiek pada ofiarą swojego lenistwa i wygodnictwa. Jeśli nie stawiamy sobie celów, które być może są celami odrobinę za wysokimi, to gnuśniejemy. I zostaje nam tylko i wyłącznie plodzenie w sobie żółci wobec tych, którzy stawiają sobie cele i czasami udaje się je realizować. I tu się kłania sławetna „kultura zapierdolu”.

Dyscyplina i „kultura zapierdolu” to są dwie różne rzeczy. Młodzi ludzie, że użyję wielkich kwantyfikatorów, nie chcą harować za darmo i po godzinach na zarobki prezesów korporacji na przykład czy szefów kancelarii prawniczych. A poza tym Kipchoge pracuje na siebie.

– Ma pani rację, folwarczna patologia dotyczy młodych idealistów. Ale nie mogę się oprzeć wrażeniu, że niektórych z nich Kipchoge dotyka swoim zapierdolem. Oni przez niego, jak to się teraz modnie mówi w języku polskim, niekomfortowo się czują. Więc co? Trzeba tego zabronić!

Ci, którzy nie godzą się na „kulturę zapierdolu”, chcą za swoje kompetencje dostawać właściwe wynagrodzenie, ale nie chcą, żeby właściwe wynagrodzenie dostawać za zapierdol. Nie chcą pracować 18 godzin.

– Wynagrodzenia nie dostaje się za teoretyczne kompetencje, tylko za praktyczne wcielanie ich w życie. Nie zabraniam ludziom pracować tak, jak im się podobają, ale są tacy, którzy chcą pracować więcej niż osiem godzin dziennie. To im zabronić teraz. Weźcie i zabrońcie, bo zapierdol. Dostyc przemocowe to będzie, ale walka z przemocą bardzo często jest niezwykle przemocowa. Proszę mnie nie piętnować z tego tytułu, że stawiam sobie wymagania, które następnie realizuję. Przez 50 lat mojego życia na tym leż padole wyreżyserowałem 60 spektakli teatralnych. Z korzyścią, wydaje mi się, dla osób aktorskich, osób scenograficznych i choreograficznych i wszystkich innych, z którymi miałem zaszczyt pracować. Wydaje się też, że z korzyścią dla widzów. Powtórzę: jeśli chce się osiągnąć w życiu spełnienie artystyczne czy sportowe, trzeba harować. Radośnie harować oczywiście, inaczej nikomu by się nie chciało.

Coltrane zadmuchał się na śmierć na saksofonie, ale coś po sobie zostawił. Jeśli się ma pasję do czegoś, to trzeba tę pasję żarliwie realizować. In girum imus nocte et consumimur igni. Żarliwie, przez noc!

I to jest pana przesłanie do młodych?

– Do każdego. Młodych i starych, mieszkańców miast i przyjeżdżających. Lepiej spłonać, niż zblaknąć. Akurat osoby reżyserskie nie są w tragicznej sytuacji, bo jest więcej teatrów najróżniejszej proveniencji otwartych na „świeżą krew” – przeproszam za przemocowe określenie. Przecież PiS bardzo potrzebuje nowych, młodych kadr, żeby nimi zastąpić tych, których prawica nienawidzi. Wystarczy być. Więc nowe kadry nie muszą robić jasełek o „wyklętych”, wystarczy, że przezornie nie będą robić na tematy, których prawica sobie nie życzy i że nowe elity będą na tyle inteligentne, że będą wiedzieć, komu zawdzięczają kariery. To pisowskiej władzy w zupełności wystarczy.

A może trzeba ważyć, że okej, w jednym się ugnę, ale za to powiem ze sceny coś ważnego? Przecież dziś nie jest trudno o takie dylematy.

– Toż mówię – jak ktoś chce, tu się ugnę, a tu mrugnę, to przecież nie zabraniam. Tym bardziej że drzwi są otwarte. Zjednoczona Prawica podejmowała władzę z głębokim i rozczulającym autentycznym przekonaniem, że istnieje zupełnie niezwykła pula artystów, którzy dotychczas byli zaniedbywani ze względu na swoje ideały prawicowe i swoją prawosć i sprawiedliwość. Jednak w ciągu pierwszego roku czy dwóch lat szybko zdała sobie sprawę, że z wyjątkiem już nieobecnego wśród nas Jarosława M. Rymkiewicza nikogo takiego nie ma. I wtedy wymyśliła, że wystarczy, że wykończą tych, którzy im nie odpowiadają, a w ten sposób stworzy się pustka, w którą wejdzie ktokolwiek, pod warunkiem że nie będzie się zajmował czymś niewygodnym dla prawicy.

Zarzuca pan ludziom konformizm, a sam był gotów reżyserować w Starym po tym, jak minister Gliński panu podziękował za dyrektorowanie, a widzowie, gildia jedna czy druga, tudzież aktorzy protestowali, wstawiając się za panem. I po tym wszystkim pan mówi: dobra, wracam?

– Zgoda, błąd. Naiwność. Do powrotu nie doszło, moja decyzja zapadła w ostatniej chwili. Zafundowałem sobie oraz współpracownikom półroczne bezrobocie. Nie daliśmy się kupić, lecz niesmak pozostał.

I pan naprawdę był zdziwiony?

– Tak. Skalą bezczelności. Przesunęły się granice tego, co się godzi, a co się nie godzi. I to nie jest kwestia ostatnich kilkunastu miesięcy, ale siedmiu lat, mówiąc konkretnie. Są rzeczy, które kilka lat temu były nie do pomyślenia, a teraz zdążyliśmy się do nich przyzwyczaić. Że się promuje donosicielstwo. Że się cenzuruje spektakle. Że się odwołuje spotkania z twórcami znajdującymi się na czarnej liście. Że pewnych twórców nie zaprasza się na festiwal, żeby nie stracić dofinansowania. Że dyrektor każe twórcom zamienić kota na psa, bo kot polityczny. Że zastanawiamy się, co mówimy głośno, a czego nie mówimy głośno. Że nauczyciele zastanawiają się, na jaki spektakl

mogą przywieźć uczniów, a na jaki nie mogą. Albo przed spotkaniem z artystą sugerują, które tematy wolno poruszyć, a których nie można, bo dzieci mogą donieść. A ci nauczyciele to są wspaniali ludzie z kilkudziesięcioletnim doświadczeniem i czują się zażenowani, że muszą mnie ostrzegać.

I o czym na przykład nie powinien był pan mówić?

– Na przykład o różnorodnych odcieniach patriotyzmu. To jest temat święty, którego tykać nie można. Zaczyna się też tworzyć aura wokół konkretnych osób czy konkretnych tematów, których z całą pewnością nie wolno ruszyć. Mówię o tym, jak bardzo kurczy się krąg swobody artystycznej w naszym kraju. Mówię o konformizmie środowiskowym. Jak sobie odpalimy kino moralnego niepokoju, to mamy sytuację zdumiewająco znajomą. To samo jest na uczelniach. Kurczy się krąg tego, co warto pomyśleć głośno.

Warto czy można?

– Część kolegów uznaje, że jeśli nie można, to nie warto. Mamy do czynienia ze zjawiskiem przejmowania kolejnych jednostek kultury z rąk samorządów. Jak wiadomo, prawica przeforsowała system podatkowy obcinający pieniądze samorządom i w tym momencie na białym koniu wjeżdża wiadomy minister cenzor i mówi: „A, to my będziemy współfinansować”. No i wtedy wolnościowe władze lokalne przystają na to współfinansowanie, bo już nie muszą się zastanawiać, czy mają dać na teatr, czy na szpital. I potem następuje jedna, druga, trzecia sugestia dotycząca tego, kto ma tam pracować, a kto nie ma, sugestia dotycząca tematów, którymi warto się zajmować, a którymi nie, a po dwóch, trzech latach, bo przecież jest kadencyjność, sugestia, kto ma tam zostać dyrektorem. Festiwalu, teatru, wszystkiego. Na ubiegłorocznym festiwalu Klasyka Polska na przykład mieliśmy do czynienia z tak dobieranym jury, żeby „Dziady” Mai Kleczewskiej nie mogły wygrać.

Wygrała wtedy „Balladyna” Opolskiego Teatru Lalki i Aktora w reżyserii Konrada Dworakowskiego „za podjęcie dialogu z oryginalnym tekstem i umiejętną pracą z wierszem oraz za konsekwentną inscenizację”.

– Za podjęcie dialogu. I „Dziady” ze Słowackiego nie wygrały. A jeszcze kilka lat temu jury się postawiło ministerstwu i „Wesele” ze Starego wygrało. Mówię o polu mi najbliższym, w którym potrafię podać konkretne przykłady, ale to samo jest w życiu akademickim czy literackim. Pętla się zaciska.

Panu też? Przecież świetnie pan sobie radzi.

– Radzę sobie, bo muszę pracować coraz więcej poza Polską, a coraz mniej w Polsce.

Zazdroszczę panu, że może się pan od tej Polski uwolnić.

– Kiedy właśnie nie mogę. Jestem polskim patriotą. Tu jest moja ojczyzna, tu jest moja publiczność i tu są moje tematy. Mogę zrobić w Szwecji spektakl o pacjentach szpitala psychiatrycznego, którzy w nieprzemocowej instytucji rekonstruują rewolucję, a markiz de Sade obsadza w roli głównej Marata, swego głównego przeciwnika, i zapytać, jak to się ma do systemu nakazowego dobrobytu i szczęśliwości, totalnego szwedzkiego wellnesu, ale to nie jest jednak rozmowa z moją rodzimą publicznością.

Swoją drogą miałem szczęście, że wojna zaczęła się trzy dni po mojej szwedzkiej premierze, bo byłem już z powrotem w Warszawie. Modliłem się o to codziennie przez miesiąc.



Nie można używać znacząco szeptanego określenia „przemocowiec” jako pały na tych, których się nie lubi i których się chce wykończyć

Żeby wojna się nie zaczęła, dopóki nie skończy pan spektaklu?

– Żebym zdążył wrócić, by nie mieć dylematu, czy zostać emigracyjnym reżyserem szwedzkim. Bo miałem dziwne witkacowskie przeczucie, że wojna potrwa rzeczywiście 72 godziny, a potem zostaną zaatakowani nasi bracia Litwini. A kolejni jesteśmy my. I wszystkie resorty są świetnie przygotowane na inwazję, bo przecież wiemy, jakie doskonale wnioski wyciągnęli nasi rządzący z wiadomości, że będzie wojna. Premier Morawiecki sprzedał działki i spotkał się z przyjacielami Putina z całej Europy.

Trochę mi się pan wymyka z odpowiedzią na pytanie, czy jest pan konformistą. Bo zastanawiam się, czy artysta teatralny może nim w ogóle nie być. Hübner pisał, że to niemożliwe, bowiem władza zawsze ma oczekiwania wobec kultury.

– Jednak nie zawsze tak głupie jak teraz. Hübner miał do czynienia z mądrzejszą władzą. A tak się pechowo teraz zdarzyło, że na ideologię jednej strony niejednokrotnie nakłada się ideologia wręcz przeciwna, ale równie ortodoksyjna. Spełnianie oczekiwań obecnych władz wobec kultury jest śmiercią sztuki i triumfem propagandy. Trud myślenia polega nie na tym, że wybieram sobie, jakiego rodzaju propagandę mam tworzyć i jaką konsumować. Ja szukam swojej drogi, ale wtedy może się okazać coś bardzo niebezpiecznego, mianowicie, że nie należą do żadnego stada i do żadnej bańki. A to znaczy, że jestem sam i członkowie jednego i drugiego stada mnie zniszczą, zanim ludzie, którzy są w tych stadach, odkryją, że i oni nie są częścią stada.

Tymczasem rządzi obustronna TINA – There Is No Alternative. Albo jesteśmy wspaniałą częścią lewicowo-liberalną cierpiącą na pluszowym krzyżu, albo jedynymi patriotami, żołnierzami Chrystusa, którzy bronią Polski i Świętego Jana Pawła przed tęczą nawałą lewacką.

Czy czas nie wymaga jednoznaczności?

– Ale gdzie jest jednoznaczność w wielkich dziełach? Nie, Zygmunt Krasiński oraz Konrad Swinarski nie są odpowiedzialni za Holokaust.

Tak uważałem 10 lat temu i tak uważam teraz.

Ja pytam nie o teatr, lecz o postawę.

– A ja mówię o sztuce, a nie o tym, gdzie postawię krzyżyk podczas wyborów, o ile takowe się odbędą. Poznam programy partii, to się zastanowię, komu ewentualnie oddać głos. Postawą nie jest przynależność do jednej czy drugiej mentalnie umundurowanej partii. Mam nadzieję, że duża część polskiej inteligencji nie może się odnaleźć w bezpiecznie binarnym świecie jedynie słusznych poglądów na wszystko.

Pan sądzi, że sztuka, którą światopoglądowo kontestujemy, jest niebezpieczna nie dlatego, że jest nudna, tylko dlatego, że zmusi nas do zmierzenia się z jakimiś niewygodnymi prawdami?

– O ile zmusza. Będę się trzymał poglądu, który nie jest dziaderski, tylko ponadczasowy, co widzę po swoich córkach – że trzeba myśleć samodzielnie. Opowiadałem już pani o koncercie Franka Zappy w Berlinie Zachodnim?

Nie pamiętam.

– Zappa przyjechał do miasta, które było niebywale progresywne i lewicowe, w którym wszyscy, rzecz jasna, walczyli z nazizmem swoich rodziców. Udany koncert, widzowie szaleją ze szczęścia, bo ich idol kapitalnie piętnuje amerykańską bigoterię i kapitalistyczną popkulturę. I nagle Frank Zappa w komunii z tysiącami widzów ni z tego, ni z owego prostuje ramię i woła: „Sieg!”. Trochę się atmosfera skisła, co jednak nie przeszkodziło mu znowu wznieść rękę w geście rzymskiego powitania i zawołać to samo, licząc na odzew. Po którymś razie ktoś nieśmiało zaczął hajlować, dla jaj oczywiście, aż w końcu cały tłum fanów krzyczał: „Sieg Heil!”. A wtedy Frank Zappa powiedział: „Dobranoc, nie będę grał dla pierdolonych nazistów, koniec koncertu”.

Więc bardzo się cieszę, że uczyłem się sztuki od bezkompromisowych artystów, takich jak: Frank Zappa, Sun Ra, Captain Beefheart, którzy lubili wkurwiać ludzi i wytrącać ich ze strefy komfortu. I jak oni uważam, że nie środowiskowa ujutność kółek wzajemnej adoracji, ale prowokowanie do myślenia jest bardzo istotną strategią intelektualną. Myślę – może naiwnie – że nie jestem sam. ●